

THE OUTSIDER



PRZYBYSZ

HOWARD PHILLIPS
LOVECRAFT

H.P. LOVECRAFT

PRZYBYSZ

(THE OUTSIDER)





THE OUTSIDER
H.P. LOVECRAFT

PRZYBYSZ

*Tej nocy Baron wyśnił dużo różnych snów.
A każdy z tych chwackich gości cielesny byt i mroczny,
Wiedźma, demon i wielki robak, co się trupem syci.
Stał się dlań w mig koszmarem*

Keats

Nieszczęśliwy ten, któremu wspomnienia z dzieciństwa przynoszą jedynie lęk i smutek. Nieszczęśliwy ten, kto oglądając się wstecz, postrzega jedynie samotne godziny, spędzone w rozległych, przeraźliwych komnatach z brązowymi zasłonami i przyprawiającymi o obłęd rzędami pradawnych ksiąg, lub na posępnym czuwaniu w pomrocznych zagajnikach, wśród groteskowych, gigantycznych, oplecionych winoroślami drzew, których gałęzie wysoko w górze poruszają się bezgłośnie. Bogowie obdarzyli mnie wieloma takimi wspomnieniami, mnie - oszołomionego, rozczarowanego, pustego, załamane go. A jednak jestem dziwnie kontent i częstokroć wracam rozpaczliwie do tych wspomnień, kiedy mój umysł choćby tylko chwilowo groził sięgnięciem poza pewną granicę, hen, tam, dalej.

Nie wiem, gdzie się urodziłem, wiem jedynie, że zamczysko było niewiarygodnie stare i nieskończenie przerażające, pełne mrocznych przejść i wysokich sklepień, gdzie oko dostrzec mogło jeno pajęczyny i cienie. Kamienie w murszejących korytarzach zawsze wydawały się upiornie zawilgłe, wszędzie unosiła się przenikliwa, przekłeta woń, kojarząca się z

rozkładającymi się od pokoleń zwłokami. Nigdy nie było tu światła, ale z czasem przywykłem do palenia świec i obserwowałem ich blask, co przynosiło mi ulgę. Światło nie napływało również z zewnątrz z powodu przerażających drzew, których korony sięgały ponad najwyższą dostępną wieżę zamczyska. Była co prawda jeszcze jedna wieża, wyrastająca ponad drzewa, w nieznanie, zewnętrzne niebo, ale częściowo zrujnowana, stała się całkiem niedostępna, jeżeli nie liczyć prawie niemożliwej wspinaczki po pionowym murze, od jednego kamienia do drugiego.

Musiałem żyć w tym miejscu wiele lat, ale nie potrafię mierzyć upływu czasu. Jakież istoty musiały troszczyć się o moje potrzeby, lecz ja nie pamiętam nikogo, z wyjątkiem siebie. Nie pamiętam zresztą żadnej żywej istoty, prócz bezgłośnych szczurów, nietoperzy i pajaków. Sądzę, że ktokolwiek mnie wychowywał, musiał być bardzo stary, pierwsza bowiem zapamiętana koncepcja żywej istoty kojarzy mi się z czymś ironicznie podobnym do mnie, a jednocześnie zdeformowanym, pomarszczonym i rozpadającym się, jak sam zamek. Jeżeli o mnie chodzi, nie widziałem niczego groteskowego w kościach i szkieletach, zaścielających niektóre z kamiennych krypt głęboko w podziemiach budowli. W wyobraźni łączyłem owe istoty z codziennymi wydarzeniami i uważałem je za bardziej naturalne aniżeli kolorowe podobizny żyjących istot, które napotykałem w licznych, pokrytych pleśnią księgach. Z nich właśnie dowiedziałem się wszystkiego, co wiem teraz. Żaden nauczyciel nie ponaglał mnie ani nie prowadził, nie pamiętam, bym usłyszał przez wszystkie te lata choćby raz ludzki głos - nawet mój własny; bo choć czytałem o mowie, nigdy nie przyszło mi na myśl, aby spróbować się odezwać. Podobnie jak nie zastanawiałem się nad własnym wyglądem, w zamku nie było bowiem luster, i jedynie instynkt podpowiadał mi, że byłem podobny do młodych postaci, których rysunki i

obrazki widziałem w rozmaitych książkach. Czułem, że jestem młody, ponieważ tak niewiele pamiętałem.

Na zewnątrz, po drugiej stronie cuchnącej fosy, pod ciemnymi, milczącymi drzewami kładłem się często, by całymi godzinami śnić o tym, co wyczytałem w księgach. Niejednokrotnie wyobrażałem sobie siebie wśród radosnych tłumów w słonecznym świecie, daleko, poza tą bezkresną puszcza. Raz próbowałem uciec z lasu, ale im bardziej oddalałem się od zamku, tym cienie robiły się gęstsze, a powietrze przepęłniało się mroczną aurą grozy. W tej sytuacji rzuciłem się pędem z powrotem, lecz zgubiłem drogę w labiryncie posępnej, nocnej ciszy.

Tak więc wśród nie mającego kresu zmierzchu śniłem i czekałem, choć nie wiedziałem na co. I nagle, w ciemnej samotności moje pragnienie światła stało się tak rozpaczliwe, że nie mogłem wytrzymać już dłużej i uniosłem błagalnie ręce ku pojedynczej, czarnej, zniszczonej wieży sięgającej ponad lasem w nieznane niebo na zewnątrz. Ostatecznie postanowiłem wspiąć się na nią, nie bacząc na ryzyko upadku. Uznałem, że lepiej było ujrzeć dzienne niebo i umrzeć, niż żyć, nie zobaczywszy blasku dnia.

Pośród mrocznego zmierzchu wspiałem się po zmurszałych, starych, kamiennych schodach, dopóki nie dotarłem do miejsca, gdzie się kończyły, a stamtąd zacząłem piąć się w górę po niewielkich, nierównych występach. Upiorny i przerażający był ów martwy, pozbawiony schodów kamienny walec: czarny, zrujnowany, opuszczony i złowrogi, a wrażenie to jeszcze wzmagaly nietoperze, które spłoszone zrywały się z miejsca, nie czyniąc nawet najmniejszego hałasu. Jednakowoż jeszcze bardziej upiorna i przerażająca była powolność mej wspinaczki. Choć piąłem się w górę najszybciej, jak mogłem, ciemność powyżej nie rzędła ani trochę, a we znaki zaczął mi się dawać dojmujący chłód, nie będący, jak sądziłem, li

tylko dziełem parującej wokoło wilgoci. Zadrzałem, kiedy pomyślałem, dlaczego nie mogę dotrzeć do światła, i gdybym się odważył, zapewne spojrziałbym w dół. Wyobrażałem sobie, że niespodziewanie opadła mnie noc, i na próżno sięgnąłem wolną ręką, by poszukać framugi okna, przez które mógłbym wyjrzeć, aby ocenić wysokość, na jaką dotarłem.

Jednocześnie po nie mającej końca, przeraźliwej wspinaczce na ślepo, w głębi tego posępnego, niesamowitego cylindra poczułem nagle, że moja głowa dotknęła czegoś twardego, i zrozumiałem, że musiałem dotrzeć do dachu lub przynajmniej jakiejś formy podestu.

W ciemności uniosłem wolną rękę i zbadałem przeszkodę, by stwierdzić, iż była ona kamienna i niewzruszona. Nadeszła pora na dokonanie zabójczego obchodu wieżycy. Uczyniłem to, przytrzymując się wszystkiego, co oferowała do utrzymania ciężaru mego ciała śliska, omszała ściana. W końcu moja dłoń natrafiła na fragment muru, który poddał się naciskowi, i ponownie skierowałem się ku górze, popychając płytę lub klapę głową, a rąk używając do przebycia ostatniego etapu mojej przeraźliwej wspinaczki. Powyżej również było ciemno, a kiedy uniosłem rękę wyżej, stwierdziłem, że przynajmniej na razie dotarłem do kresu wędrówki - kłapa okazała się bowiem wejściem do wyższego poziomu wieżycy, o obwodzie dużo większym niż dolny. Bez wątplenia było to piętro, na którym znajdowało się przestronne i podniosłe pomieszczenie obserwacyjne. Przeczółgałem się przez nie ostrożnie, usiłując nie dopuścić, by płyta opadła na swoje miejsce, ale moje wysiłki spełzły na niczym. Kiedy zległem wyczerpany na kamiennej posadzce, usłyszałem echo jej upadku, lecz miałem nadzieję, że w razie potrzeby uda mi się ponownie ją unieść.

Wierząc, że jestem teraz na całkiem sporej wysokości, dużo wyżej, niż sięgały przekłete gałęzie drzew, podźwignąłem się z podłogi i udałem się na poszukiwanie okien, aby po raz pierwszy móc spojrzeć na niebo, księżyc i gwiazdy, o których czytałem. Tu jednak spotkało mnie srogie rozczarowanie - wszędzie bowiem wokół odkryłem jedynie marmurowe półki, zavalone osobliwymi, podłużnymi skrzyniami niepokojących rozmiarów.

Zastanawiałem się nieustannie i rozmyślałem, jakie potężne schody mogą kryć się w tym niesamowitym pomieszczeniu, odciętych całe eony temu od dolnej części zamczyska. Wtem, niespodziewanie, moje dłonie natknęły się na wejście, w którym tkwił okazały, kamienny portal ozdobiony płaskorzeźbami. Naciskając nań, stwierdziłem, że wejście było zamknięte, ale w gwałtownym przypiływie sił zrodzonych z desperacji, pokonałem wszelkie przeszkody i uchyliłem odrzwia do wewnątrz. Kiedy to uczyniłem, ogarnęła mnie najczystsza ekstaza, jakiej nigdy wcześniej nie zaznałem - przez ozdobne żelazne kraty i z głębi krótkiego kamiennego korytarza prowadzącego od nowo odkrytego wejścia płynęła bowiem srebrzysta poświata księżyca w pełni, której nigdy dotąd nie widziałem, chyba tylko w snach i w mglistych wizjach, których nie ważyłem się nazywać wspomnieniami.

Uznawszy, że zdołałem dotrzeć na szczyt iglicy, postanowiłem wyjść spieszenie, choćby na kilka kroków poza drzwi, nagle jednak księżyc przesłoniły chmury, potknąłem się i zacząłem wolno, po omacku, szukać drogi w ciemności. Wciąż jeszcze było bardzo ciemno, kiedy dotarłem do kraty - na którą lekko napałem i stwierdziłem, że nie była zamknięta na klucz, lecz nie otworzyłem jej z obawy przed wypadnięciem z olbrzymiej wysokości, na jaką się wspierałem, i wtedy ponownie pokazał się księżyc.

Najbardziej szokuje to, co bezgranicznie nieoczekiwane i groteskowo niewiarygodne. Nic, czego dotychczas doświadczyłem, nie mogło równać się ze zgrozą tego, co teraz ujrzałem, oraz wyjaśnić cudu, sugerowanego owym widokiem. Był on tyleż prosty, co uderzający i oszałamiający. A oto, jak się przedstawiał: miast przyprawiającej o zawrót głowy panoramy wierzchołków drzew, widzianych z dużej wysokości, wokół mnie, za metalową kratą rozciągał się twardy grunt, zbity i poprzedzielany marmurowymi płytami i kolumnami, na który cień rzucał prastary kamienny kościół, ze zniszczoną wieżą, migocącą upiornie w srebrnym świetle księżyca.

Na wpół przytomny, otworzyłem bramę i wyszedłem chwiejnie na białą, wysypaną żwirem ścieżkę, ciągnącą się w dwóch kierunkach. Mój umysł, choć oszołomiony i ogarnięty chaosem, wciąż rozpaczliwie domagał się światła. Nawet najbardziej zdumiewające wydarzenie nie mogło odwieść mnie od tego postanowienia. Nie wiedziałem ani nie przejmowałem się, czy to, czego doświadczyłem, było oznaką szaleństwa, czarów czy sennym majakiem. Pragnąłem jedynie za wszelką cenę ujrzeć jasność, szczęśliwość i radość. Nie wiedziałem, kim ani czym byłem, jak również gdzie się znajdowałem - choć w miarę jak posuwałem się naprzód, w mej świadomości pojawiły się pewne utajone dotąd, przeraźliwe wspomnienia, które sprawiały, że mój krok nie był już tak rażny jak dotychczas. Zostawiłem w tyle marmurowe płyty i kolumny i wyszedłem na otwartą przestrzeń. Czasami podążałem drogą, innym znowu razem łąkami, gdzie tylko przypadkowo dostrzeżone ruiny zdawały się świadczyć o istnieniu prastarego, zapomnianego traktu. Raz przepłynąłem rwącą rzekę, gdzie zarośnięte mchem bryły kamienia mówiły smętną prawdę o moście, który dawno temu pogrążył się w odmętach.

Musiły minąć ponad dwie godziny, nim dotarłem do czegoś, co mogłem uznać za swój cel. Było to obrośnięte hojnie bluszczem zamczysko, w gęsto zadrzewionym parku, który, choć zdumiewająco znajomy, jednocześnie wydawał mi się nad wyraz obcy. Dopiero później zobaczyłem, że fosa była zasypana, a niektóre ze znanych mi wież zburzone, podczas gdy obok wznosiły się nowe skrzydła budowli, aby ich widokiem zmącić umysł patrzącego.

Ja wszakże z największym zaskoczeniem i rozkoszą przypatrywałem się otwartym oknom - bił z nich silny blask i płynęły dźwięki radosnej zabawy. Zbliżywszy się do jednego, zajrzałem do środka i ujrzałem osobliwie przyodziane towarzystwo, oddające się nieskrępowanej zabawie i żywo rozprawiające między sobą - nigdy dotąd nie słyszałem ludzkiej mowy i mogłem się jedynie domyślać, o czym rozmawiano. Niektóre twarze wydawały się przywoływać we mnie na wpół zapomniane wspomnienia, inne były całkowicie obce.

W końcu przeszedłem przez niskie okno do jasno oświetlonej komnaty, a gdy to się stało, tłąca się we mnie iskierka nadziei zgasła w przyplýwie nagłej świadomości, zalana falą czarnej rozpacz. Koszmar przybył szybko, bo kiedy tylko wszedłem, stałem się świadkiem jednego z najbardziej przerażających zjawisk, jakie kiedykolwiek widziałem. Ledwie znalazłem się w sali, całe towarzystwo ogarnęła nagła, niewypowiedziana i dojmująca zgroza, której wyraz powykrzywiał ich twarze i wydarł przeraźliwe okrzyki z nieomal wszystkich gardeł. Wszyscy jak jeden mąż rzucili się do ucieczki, a w tumultie i panice kilka osób zemdlało i zostało wyniesionych przez ich umykających w popłochu kompanów. Wielu zakrywało oczy dłońmi i gnało na oślep w panicznej próbie ucieczki, przewracając meble i zderzając się ze ścianami, zanim udało im się dotrzeć do jednych z wielu drzwi.

Krzyki były szokujące. Kiedy tak stałem w jasno oświetlonym pomieszczeniu, samotny i oszołomiony, nasłuchując cichnącego echa ich ucieczki, zadrzałem na myśl, co mogło czaić się, niedostrzegalne, w pobliżu. Na pierwszy rzut oka komnata zdawała się pusta, kiedy jednak ruszyłem w stronę jednej z alków, odniosłem wrażenie, że wyczuwam w niej czyjąś obecność - złudzenie ruchu za ozdobionym łukiem wejściem prowadzącym do sąsiedniej, podobnej do tej, komnaty. Zbliżywszy się do wejścia, zacząłem odbierać obecność nieco wyraźniej. I nagle, wraz z pierwszym i ostatnim dźwiękiem, jaki z siebie wydałem - upiornym skowytom, który wzbudził we mnie niemal równie wielką odrazę, jak ohyda będąca jego przyczyną - ujrzałem, w pełni swej przerażającej, mrożącej krew w żyłach okazałości, nieopisaną, niepojętą, niewypowiedzianą koszmarną istotę, monstrum, które samym swym wyglądem zmieniło radosne towarzystwo w gromadę rozhisteryzowanych, rozgorączkowanych uciekinierów.

Nie potrafię nawet pobieżnie opisać, jak wyglądało to coś. Było istną kombinacją wszystkiego, co nieczyste, niesamowite, nienormalne, niepożądane i godne najwyższej pogardy. Miało trupią barwę gnijących zwłok, odcień rozkładu, starości i zepsucia, toczony przez robaki, ociekający eidolon bluźnierczego objawienia, ohydne, okrutne uzewnętrznienie tego, co litościwa ziemia powinna na zawsze ukryć w swoich trzewiach. Bóg jeden wie, że nie pochodziło z tego świata - albo przynajmniej już nie z tego świata - aczkolwiek ku swemu przerażeniu ujrzałem w jego wyżartym, ziejącym nagimi kośćmi kształcie przeraźliwie ironiczną, zdeformowaną w niemożliwy do wyrażenia sposób trawestację ludzkiej sylwetki. Przegniłe, rozchodzące się w szwach odzienie jeszcze bardziej wzmogło narastające we mnie przerażenie.

Byłem nieomal sparaliżowany, ale nie na tyle, by nie podjąć choćby najmniejszej próby ucieczki. Zatoczyłem się w tył, ale to nie zdołało przełamać uroku, jaki rzucił na mnie ów nienazwany, pozbawiony głosu potwór. Moje oczy, urzeczony szklistymi gałkami, które wlepiły we mnie odrażający wzrok, nie chciały się zamknąć; były jednakże litościwie przymglone i ukazywały mi ową odrazę nieco rozmytą wskutek pierwszego szoku. Usiłowałem unieść rękę, by przesłonić wzrok, lecz byłem tak oszołomiony i zdenerwowany, że ręka nie do końca poddała się mej woli. Próba ta wszakże wystarczyła, by zakłócić mą równowagę - w ten oto sposób, by nie upaść, musiałem chwiejnie postąpić kilka kroków naprzód; kiedy to uczyniłem, nieoczekiwanie, ze zgrozą zdałem sobie sprawę z bliskości tej trupiej istoty. Nieomal wyobrażałem sobie, że mogę usłyszeć jej zdławiony, odrażający oddech. Na wpół omdlały, miałem jeszcze dość przytomności umysłu, by wysunąć przed siebie jedną rękę w rozpaczliwej próbie powstrzymania cuchnącej, groteskowej istoty, która znajdowała się tak blisko mnie. I wtedy w jednej, katastrofalnej sekundzie kosmicznego koszmaru i piekielnego przypadku moje palce dotknęły wyciągniętej, gnijącej łapy monstrum czającego się za złotą, łukową ramą.

Nie krzyknąłem, lecz wszystkie diabelskie ghule śmigające wraz z nocnym wiatrem wrzasnęły zamiast mnie i w tej samej sekundzie na mój umysł zwała się pojedyncza, ulotna lawina druzgocących duszę wspomnień. W tym momencie przypomniałem sobie wszystko, co się dotąd wydarzyło, sięgnąłem pamięcią poza granicę przerażającego zamczyska i drzew i rozpoznałem zmienioną budowlę, w której się obecnie znajdowałem. Przede wszystkim jednak, i to było najstraszniejsze, rozpoznałem bluźnierczą obrzydliwość, która stała przede mną, szczerząc się, kiedy cofałem moje skulone palce od jej dłoni.

W kosmosie wszakże poza goryczą istnieje również ukojenie, a owym balsamem jest nepenthes.

W przyplýwie dojmującej zgrozy tej krótkiej chwili zapomniałem, co mnie przeraziło, i eksplozja czarnych wspomnień szczyła w chaosie ech rozmaitych obrazów. W zapomnieniu umknąłem przed tą niepokojącą i przekłętą bryłą, a w blasku księżyca biegłem rączo i bezgłóśnie. Kiedy wróciłem na marmurowe cmentarzysko i zszedłem na dół po schodach, stwierdziłem, że nie jestem w stanie poruszyć uchylnej kamiennej klapy sekretnego wejścia. Nie żałowałem tego, gdyż nienawidziłem starego zamczyska i drzew. Teraz mknę z drwiącymi i przyjaznymi ghulami pośród nocnego wiatru, a za dnia igram wśród katakumb Nephren-Ka w niedostępnej, nieznannej kotlinie Hadoth nad Nilem. Wiem, że światło dnia nie jest dla mnie odpowiednie, a raczej blask księżyca oświetlający kamienne grobowce Neb, podobnie jak radość i swawola, z wyjątkiem tajemnych uczt Nitokris w podziemiach Wielkiej Piramidy. Muszę wszelako przyznać, że dzięki tej nowej swobodzie i szaleństwu nieomal pogodziłem się z goryczą obcości.

Chociaż nepenthes przyniósł mi wewnętrzny spokój, wiem, że zawsze byłem i pozostanę już przybyszem z zewnątrz - obcym w tym stuleciu i pośród tych, którzy wciąż są jeszcze ludźmi. Zrozumiałem to z chwilą, gdy sięgnąłem ręką w kierunku odrażającej, bluźnierczej ohydy, widocznej wewnątrz tej wielkiej, złoconej ramy - kiedy wyprężyłem palce i dotknąłem zimnej, nieustępliwej powierzchni gładkiego, polerowanego szkła.